№ 38 WARSZAWA, DNIA 21 WRZEŚNIA 1912 ROKU ROK II

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.



NIEWIDZIALNI

Ujrzałem olbrzymią, ohydną głowę, na dwóch brudno-białych skrzydłach.

(do Nr. 37 str. 167).

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

Kazał mi usiąść wprost siebie i patrzeć w swoje oczy. Wtedy uczułem, że przez rodzaj suggestji odczuwa on moje wrażenia i pojęcia w danej chwili — a może nawet i myśli.

Jednak ten rodzaj hypnotyzowania sprawiał mi zawsze wielkie cierpienie, tembardziej, że często musiałem spełniać rozkazy tego straszydła, narzucone mi jego wolą, której nie mogłem się oprzeć. Musiałem iść, wracać, lub zagłębiać się wbrew własnej woli, w jaką oddaloną galerję, w której chciał mi coś ciekawego pokazać.

Muszę jednak przyznać, iż zamiary jego nie były dla mnie szkodliwe i że robił co mógł, aby mię zrozumieć: jednak pomimo zobopólnych naszych usiłowań istniała między nami wciąż jakaś przepaść, niczem nie dająca się zapełnić. Wiedziałem, iż wiele moich pojęć, a nawet wrażeń, pozostaną dla niego na zawsze martwą literą.

Z tych naszych posiedzeń nie wiele mogłem zebrać spostrzeżeń nad Niewidzialnymi. Jednakże z jego rysunków, robionych z niesłychaną dokładnością węglem, trzymanym w mackach, silniejszych i zgrabniejszych, aniżeli ręce — poznałem, iż żadna z moich przygód nie była im obcą.

Odrysował mi pierwszą porażkę zwyciężonych przez ogień Erloorów, śmierć Romboo i wizerunki moich Marsjan — dość podobne.

Dał mi do poznania, że Niewidzialni, gdy zechcą, potrafią być biegłymi w każdem rzemiośle: ich to przodkowie powznosili te wieże, połączone podwodnemi galerjami i zgromadzili owe olbrzymie w nich zapasy. Oni sami nie podejmowali już dzieł tak wielkich, a jedynem ich zajęciem było zapewnienie sobie pożywienia.

Chciałem się dowiedzieć, jak długo żyją te straszydła: lecz gdym zdołał nareszcie, z wielkim trudem wytłómaczyć mu, czego żądam, wstrętna twarz jego przybrała wyraz rozdzierającej boleści, a skrzydłami wstrząsnął dreszcz przerażenia.

— Ja także muszę umrzeć! — suggestjonował mi Wampir ze smutkiem swoją odpowiedź — i dla lepszego wytłomaczenia podniósł do góry i opuścił swoje macki ośm razy na znak, iż tyle jeszcze czasu do życia mu pozostało.

Lecz nie mogłem się dowiedzieć, czy miało to oznaczać tygodnie, miesiące, czy lata. Zaledwie po kilkunastu dniach dowiedziałem się prawdy.

Niewidzialni żyli pod władzą jakiejś straszliwej istoty, której nawet nazwać nie śmieli, a która znała wszystkie ich myśli i czyny.

Na podobieństwo starożytnego Minotaura,

ten Moloch, wyobrażany na haftowanych materjach, w postaci promieniejącego półkola — pobierał każdego miesiąca krwawą daninę z Niewidzialnych, których pożerał. Nie było wolno nikomu oprócz przeznaczonych na ofiarę, wchodzić w kraj pustynny, położony nad wiecznie burzliwem morzem, w najgorętszej części planety, w którym istota ta straszliwa przebywała.

Próbowano oddawać jej na ofiarę inne stworzenia, lecz żadne, oprócz Niewidzialnych, nie były przyjęte, a i tych jeszcze skrzydła i macki były pogardliwie odrzucane.

Niegdyś, Niewidzialni próbowali opierać się tej tyrańskiej władzy i odlecieli w lodowate, przy biegunie marsyjskim położone kraje: lecz zemsta krwiożerczego bóstwa rychło ich odnalazła i wytępiła.

Pioruny pogruchotały wiele wież szklanych, a siła nieprzezwyciężona powynajdywała nieszczęsnych zbiegów w górskich pieczarach lub w najtajniejszych głębiach lasów — i zmusiła do powrotu.

Bunt, tak krwawo stłumiony, nie powtórzył się więcej przez długi przeciąg czasu i każdego miesiąca, oznaczona ilość ofiar posłusznych, leciała, pociągana niezwalczoną siłą, w bezpowrotną drogę ku przeklętym krainom południa.

Towarzyszący mi Niewidzialny chciał więc zapewne dać mi do zrozumienia, iż pozostaje mu jeszcze ośm miesięcy życia.

Wiadomości te jednak wzbudziły we mnie pewne niedowierzanie: nieprawdopodobną mi się zdawała wszechwładza tego krwiożerczego potworu, jak również i jego rozmiary—gdyż Niewidzialni wyobrażali go wielkim jak góra i uwieńczonym płomieniami.

Przychodziła mi myśl, że może Niewidzialni czczą jakiś wulkan, lub inny fenomen natury, którego ofiarą stać się mogli kiedyś; w rezultacie jednak sam nie wiedziałem, co o tem sądzić.

Wszystkie te wieści były mi udzielane z wielką powściągliwością; a ilekroć zapytywałem o coś nowego, groza i przestrach, widoczne na szpetnych twarzach, wykazywały ich przerażenie.

Musiała jednak w tem tkwić wielka część prawdy, ponieważ w dniu oznaczonym, byłem świadkiem odlotu gromady ofiar do południowych krajów.

Był to widok, którego nigdy nie zapomnę!

Od czasu jak poznałem cudowne własności opalowego hełmu, zdejmowałem go jedynie na kilka godzin snu.

Pewnego dnia odpoczywałem właśnie po dłuższej wycieczce w galerjach, kiedy zaczęły mię dochodzić ostre i przenikliwe krzyki, będące u Niewidzialnych oznaką najwyższego wzruszenia.

Włożyłem śpiesznie hełm i wyszedłem na platformę: teraz nie obawiałem się już zaglądać w nisze, a nawet wchodzić do nich.

Spojrzałem wewnątrz, w dół. Cała ta przestrzeń była zapełnioną mnóstwem Niewidzialnych; kręcili się tam bezładnie, jak pszczoły bez swej królowej, wydając żałosne, przejmujące jęki.

Nigdybym nie przypuścił, że istoty o tak wstrętnym, galaretowatym wyglądzie, mogą odczuwać tak gwałtowną boleść.

Wkońcu wrócili do swych legowisk, zauważyłem jednak, iż ci, którzy zajmowali najwyższe piętro, wypijali chciwie krew z pełnych po brzegi naczyń.

W tej chwili Fobos i Deimos zajaśniały na czystem, wieczornem niebie. Na ten widok wzmogły się krzykliwe jęki i stały się prawie ogłuszającemi.

Bezpośrednio po tem, Niewidzialni z najwyższego piętra wzlecieli jednocześnie w górę z gardłowym krzykiem, a utworzywszy tam trójkąt na podobieństwo żórawi lub dzikich gęsi, lecących do ciepłych krajów, pomknęli, jak strzała, na południe, wpośród rozdzierających jęków pozostałej gromady.

I tak z każdej z wież stojących wśród morza, wznosił się długi sznur, powiększa-

jąc ogólną gromadę i napełniając powietrze żałobnym krzykiem...

To wszystko sprawiło na mnie przejmujące wrażenie.

Czułem, że pod wstrętną powierzchownością Wampirów krył się duch inteligentny i cierpiący: byłem tem wzruszony głęboko, litując się nad temi dziwnemi istotami i żałowałem, że nie mogę ich ocalić od zguby. One zaś, odleciawszy już daleko, tworzyły tylko jakby gęsty obłok na południowej stronie widnokręgu, malejący stopniowo, aż się rozwiał we mgłach oddalenia...

Wewnątrz wieży panowała zupełna cisza, lecz wkrótce usłyszałem łopotanie skrzydeł i rój Niewidzialnych ukazawszy się z ciemności, wzleciał na najwyższe piętro i zajął w milczeniu nisze, opróżnione przez dotychczasowych mieszkańców. Były to ofiary, przeznaczone do następnego odlotu...

(Robert zmęczony i wzruszony, umilkł na dłuższą chwilę; mrożone wino, podane przez Kerifę, zdawało się go orzeźwiać, lecz siedział zamyślony, a słuchacze wyczekiwali niecierpliwie dalszego ciągu tych nadzwyczajnych przygód. Zaruk, zwrócony w stronę tarasu, zdawał się przypatrywać swemi martwemi źrenicami, opisywanym przez Roberta potworom).

VII. Wyspa Śmierci.

Ralf mruknął coś o niezwykłym upale, lecz nikt mu nie odpowiedział, a Robert mówił:

— Od owego dnia pragnienie ujrzenia i poznania tyrana, który miał nad Niewidzialnymi władzę tak straszliwą, nie dawało mi spokoju. To też zanim upłynął czas przeznaczony na odlot następnej gromady, powziąłem niezmienne postanowienie: muszę odkryć schronienie tego potworu i ujrzeć, w jaki sposób pochłania swoje ofiary!

Byłem pewnym, że w tem, czego się o nim dowiedziałem, musi być wiele przesady, gdyż istota podobna tej, jaką mi opisano, stanowczo nie mogła istnieć.

Niewidzialny, któremu się zwierzyłem z moją myślą, zdawał się być przerażonym moją śmiałością. Nie odmówił mi jednak dostarczenia przedmiotów, które mi mogły być potrzebne w tej wyprawie, oraz wskazówek do odnalezienia krainy, którą, drżąc z przestrachu na jej wspomnienie, nazywał «Wyspą Śmierci».

D. c. n.

(Tłom. z fran. *K. W.*).

Liście spadają...

Spadają lekko liście pożółkłe i rdzawe,
Jak połamanych skrzydeł rozproszone pióra,
A w wieńcu ich, jak widmo roztęsknione,
łzawe,
Przez rżyska idzie z dali jesień złotopióra...

Spadają lekko liście pożółkłe i rdzawe,
I z szelestem się kładą, drżąc
w przydrożnym pyle.
Wicher strąca co chwila tych płatków
kurzawę,
A one mrą dokoła, jak barwne motyle...

Spadają lekko liście pożółkłe i rdzawe,
Spadają melancholji obłąkanym lotem,
I z cichym szeptem lecą, lecą na murawę,
I barwią się zdaleka purpurą i złotem...

Spadają lekko liście pożółkłe i rdzawe...

M. Ch.

ZAWIEDZIONA LITERATKA

Komedyjka w jednej odsłonie,

przez **MARYLĘ ŻARSKĄ.**

Ciąg dalszy.

Jasiek. Dobrze, paniczu! (bierze za klamkę, wychodzi—po chwili wraca), A na odpis, paniczu, to mam niby zaczekać?

Władek. Nie, nie—odpisu żadnego nie będzie, nic nie mów, że to od nas. Rozumiesz? Niech Bóg broni.

Jasiek. Rozumiem, rozumiem. Jak się spyta, to jej powiem, że to pachciarz przywiózł z miasteczka.

Antoś. Doskonale, ale się śpiesz, póki jeszcze nie wróciła, bo się jeszcze wygadasz.

Jasiek (śmieje się). O! nie taki ja głupi.

SCENA VI.

Władek i Antoś.

Władek. Sprytny ten Jasiek, on nas nie wyda.

Antoś. No, ale i my zabierajmy się do roboty. Mieliśmy girlandę przybić w salonie.

Władek. Zupełnie o tem zapomniałem. Śpieszmy się, bo już bardzo późno.

(Wychodzą drzwiami na prawo, z lewej strony wchodzi Śpiżarczyńska, Jadzia, Helenka i Wituś).

SCENA VII.

(Śpiżarczyńska trzyma w ręku listy i gazety, z jednej strony czepia jej się Wituś, z drugiej Jadzia i Helenka).

Śpiżarczyńska. Moje drogie dzieci, odczepcie się odemnie, przecież ja dzisiaj nie mam czasu bawić się z wami. Najpierw trzeba poukładać listy i gazety, żeby nie poginęły. (Układa je na stole). Aż w głowie mi się mąci od tej ciągłej roboty. (Otwiera do kredensu, wyjmuje parę talerzyków i słoik). Bo powiedzcie sami! Kto pączki usmaży? Śpiżarczyńska. Kto ciasto upiecze? Śpiżarczyńska. Kto kremy przyrządzi? Śpiżarczyńska.

Wituś (oblizując się). Ach te kremy, to takie wyborne, że chyba aniołowie w niebie lepszych nie mają!

Śpiżarczyńska (patrzy na Witusia z rozczuleniem). Moje to dziecko złote! jak się to zna na wszystkiem! Już od maleńkości był taki. Ja jeszcze do ś. p. męża mojego, świeć Panie nad jego duszą (ociera oczy fartuchem) mówiłam: Ten Wituś to będzie najmądrzejszy ze wszystkich dzieci.

Helenka. A o mnie to pani Śpiżarczyńska tak nie mówiła?

Śpiżarczyńska (głaszcze ją po głowie). Ty jesteś kochaneczka i pieszczotka. Ale ten Wituś to od poduszki był taki przypodchlebny. Jak mnie poprosił o ciastko, to chociaż się pani na mnie gniewała, nie mogłam odmówić.

Jak to ty prosiłeś, Witusiu?

Wituś (recytuje jednym tchem). Moja najśliczniejsza, najmilsza, najlepsza, najukochańsza pani Śpiżarczyńska, proszę o jedno ciasteczko, a jak nie o jedno, to o dwa!

Spiżarczyńska (rozczulona). Złote, kochane dziecko (ociera oczy). Czy można mu czego odmówić?

Wituś. Bo pani Śpiżarczyńska jest naprawdę najlepsza i najmilsza. Ja bardzo kocham panią Śpiżarczyńską. Na kuligu przebiorę się za krakowiaka, i będę tańczył tylko z panią Śpiżarczyńską. Ot tak! (Bierze ją pod rękę i zaczyna z nią wyskakiwać po pokoju). Ram ta tata, ram ta tata!

Śpiżarczyńska (zdyszana wyrywa się). Witusiu, Witusiu, dajże mi spokój. Idę już, Boże, przecież już czas wstawiać babki do pieca.

Wituś. To i ja pójdę z panią Śpiżarczyńską (wychodzi za nią).

SCENA VIII.

Jadzia i Helenka.

Jadzia. Ta wasza Śpiżarczyńska to bardzo zabawna, ale muszę jej przyznać, że doskonałe smaży pączki, nawet w Warszawie takich nie jadłam.

Helenka. E, dzisiaj to nie zasługa pani Śpiżarczyńskiej, to Hani. Jej tak chodzi o to, aby się ten kulig udał, że wstała o szóstej rano i zabrała się do roboty.

Jadzia. Twoja siostrzyczka, to wielka gosposia! Za to Kamilka nie, tylko w książkach siedzi. Nawet tańczyć nie lubi.

Helenka. Jakto? Nie będzie tańczyć na kuligu?

Jadzia. Chyba nie. Mówiła do mnie, że nie lubi tańczyć z nieinteligentną młodzieżą, a podobno młodzież wiejska nie jest interesującą, niezgrabna i nieelegancka.

Helenka (oburzona). Co też ty mówisz, Jadziuniu? Jak poznasz naszych kuzynów z Jawora, zmienisz zdanie, a jak jeszcze przyjadą panowie z Rzucowa...

Jadzia. Ciekawa jestem! Ale chyba nie tacy jak w Warszawie. Ach gdybyś wiedziała, jakie są przyjemne te nasze wieczorki u cioci... Siedzę wtedy rozmarzona, muzyka gra walca... (Opiera się o krzesło). Wtem zbliża się pan Wiktor, staje przede mną, pochyla nisko głowę (robi odpowiednie gesty) i pyta: panno Jadwigo, czy mogę prosić do pierwszego walca? Wtedy ja wstaję, robię dyg głęboki (wstaje i kłania się przesadnie), zaczynamy tańczyć, a pan Wiktor mówi: Panno Jadwigo, pani tańczy jak anioł!

Helenka. E, to nieprawda. Gdzieby tam aniołowie tańczyli walca!

Jadzia. Ale to się tak tylko mówi przez grzeczność. Wy na wsi to się na niczem nie znacie!

Helenka (oburzona). Co mi tak ciągle tę wieś wymawiasz? (odwraca się bokiem od Jadzi — Jadzia również bokiem odwrócona — chwila milczenia).

SCENA IX.

Ciż, Władek i Antoś.

Władek. Cóż to panienki, pogniewane?

Antoś. Wolno wiedzieć o co?

(Jadzia i Helenka stoją nieporuszone).

Władek (kłania się nizko). Królowe i Panie, powiedzcie wiernemu słudze, jakie grzechy obciążają wasze szlachetne sumienia?

Helenka (wybucha). Bo widzicie, Jadzia powiedziała, że młodzież na wsi jest nieinteresująca i nie elegancka. Naturalnie, ma takie same zdanie o was, moi braciszkowie!

Jadzia (zakłopotana). Przecież ja tego nie powiedziałam.

Władek. Jadziuniu, jakżeż można, czyż nie wyglądam na hrabiego?

Antoś. A ja conajmniej na księcia?

(D. n.).

BOLESŁAW PRUS.

SIEROCA DOLA.

DOKOŃCZENIE.

Wróciwszy do hotelu, pan Anzelm rzucił się na łóżko zmartwiony. Czuł on, że po nitce litości wkradło się do jego serca wielkie przywiązanie do sieroty.

2-go stycznia, około jedenastej w południe, dano znać panu Anzelmowi, że Jaś znalazł się i że jest w ratuszu. Szlachcic w parę minut stanął w kancelarji.

Tu zastał jakiegoś robotnika, starą kobietę, posłańca i stójkowego, którzy otaczali chłopca ubranego w czarny paltocik. Anzelm spojrzał mu w oczy i osłupiał:

— Jak ci na imię? — spytał to indywiduum.

— Jaś, proszę pana... żeby mię tak cholera zatłukła!...— odpowiedział chłopiec z wiśniowym nosem i kilku sińcami na twarzy.

Szlachcic nie wiedział co myśleć. W tej chwili jednak zbliżył się do ulicznika jakiś stary policjant, popatrzał mu bystro w twarz, a następnie, odchyliwszy kołnierz paltota i przeczytawszy na podszewce etykietę: „Kalasanty Durski w Warszawie,” rzekł:

— No, gadaj prawdę, tyś okradł tego małego!...

Anzelm upadł na krzesło, a tymczasem chłopak wrzaskliwym głosem odpowiedział:

— Nie okradłem... jak Boga kocham! On mi sam ten palton darował... żebym tak w ziemię wrósł!... On przecie służył u mnie, niech sam powie... Karmiłem go, jak własnego syna... Ale jakeśmy się pobili z Marcinem, wczoraj w wieczór, tak on, psia kość, wziął i uciekł!... Żebym tak skonania nie doczekał!...

— No, a dlaczego ty się Jasiem przezywasz, kiedy ty jesteś Antek? — badał dalej policjant.

— To też Antek!... przecie mówiłem, że Antek.

— Co ty tu będziesz łgał, łotrze!... wszyscy słyszeli, żeś się nazywał Jasiem!...

— Ehe!...—odparł zadziwiony ulicznik — kiedy tak, to pewnie musiałem zapomnieć!...

Ponieważ Antek był dobrze znany policji, przyniesiono więc jego stan służby, z którego dowiedziano się, że ulicznik był już kilkanaście razy pod aresztem. Raz — za to, że dmuchał w rurki wodotrysku przed pocztą; drugi raz, że wybił kamieniem szybę w omnibusie; dalej za to, że okradł pudla: zabrał mu obrożę i kaganiec, potem za to, że się nieobyczajnie zachowywał na ulicy, że ukręcał mosiężne klamki i że z jakimś żołnierzem zrobił awanturę w szynku.. Panu Anzelmowi stanęły włosy na głowie, gdy porównywał mały wzrost ulicznika z ogromem jego występków!

Skutkiem tego, robotnik, stara kobieta, posłaniec i stójkowy, którzy znaleźli ulicznika, odeszli z kwitkiem.

Prawie w tej samej chwili, przyniesiono panu Anzelmowi dwie wiadomości. Pierwszą, że poczciwy Jędruś, terminator Durskiego, oskarżony o okradzenie majstra, zajął już w ratuszu lożę o b y w a t e l s k ą, od strony Daniłowiczowskiej ulicy. Druga wiadomość była gorsza: ktoś bowiem doniósł, że Jaś musiał się utopić, ponieważ w tym czasie, kiedy pękły lody na Wiśle, słyszano krzyk.

Na prośbę pana Anzelma, celem sprawdzenia wieści, rozesłano telegramy na wszystkie strony miasta, i okazało się: że lody na Wiśle pękły pomiędzy Warszawą a Pragą, i że o tej samej porze usłyszano krzyk za Wolskiemi rogatkami. Sprawdzono też, że krzyk ów nie pochodził z ust topiącego się Jasia, lecz z piersi niejakiej Magdaleny Robaczek, pobitej przez męża, Walentego Robaczka, wyrobnika, który odznaczał się zamiłowaniem w nietrzeźwości.

Gdy wszelkie wątpliwości były rozjaśnione w zadowalający sposób, zdesperowany szlachcic opuścił ratusz i bez celu tułał się kilka godzin po ulicach. Przeszedł Stare Miasto, był na Nowym Zjeździe, zwiedził warszawski brzeg Wisły, a wreszcie około szóstej wieczorem, zawrócił do hotelu.

Gdyby w tej chwili uważniej spojrzał dokoła siebie, dostrzegłby wynędzniałego chłopczynę, który drepcząc nogami i chuchając w skostniałe ręce, zabiegał mu to z prawej, to z lewej strony i zaglądał w oczy, z wyrazem nieopisanego niepokoju.

Ale pan Anzelm nie uważał i zamyślony szedł dalej. Wyminął kilka ulic, dotarł do hotelu, wdrapał się chwiejnym krokiem na schody i otworzył swój numer.

W chwili, gdy zapaliwszy świecę, zwrócił się ku otwartym drzwiom, aby je przymknąć, zobaczył jakąś kupkę drżących łachmanów, które padły na ziemię i oplątały mu nogi. Jednocześnie uczuł, że ktoś całuje mu kolana i, wśród jęku i szlochań, usłyszał wyrazy:

— Panie mój!... panie!...

Szlachcicowi serce bić przestało. Porwał dziecko w objęcia, podniósł je do góry, przypatrzył się mizernej twarzyczce i zawołał:

— O dziecko, ileś ty mi narobił zmartwienia!...

Jaś to był, obdarty, zmęczony i głodny. Lecz kto go aż tu doprowadził?...

Chyba Ten, który przylatującym bocianom i jaskółkom wskazuje niezawodną drogę...

PORA ŁOWÓW.

Ciąg dalszy.

Dziwaczna postać łosi, oraz trzymanie się ich zwykle w miejscach niedostępnych, były powodem, iż krążyło o nich w dawnych czasach mnóstwo dziwacznych wieś-



Łoś.

ci, których powtarzać nie wahali się nawet ludzie tej miary jak Juljusz Cezar.

Mówiono np., że nie posiadają stawów w nogach, co zmusza je sypiać stojąc i opierając się o drzewo: jeśli takowe podpiłować, śpiący zwierz pada na ziemię, nie mogąc powstać ani uciekać.

Z jego racic, startych na proszek, wyrabiano lekarstwa na wszelkie choroby, oraz pierścienie, mające wywierać na zdrowie wpływ cudowny.

Łoś, zwykle spokojny, nawet głupowaty, zmienia się raptownie z chwilą, gdy zostaje ranionym. Szał go ogarnia, rzuca się w jednej chwili na ludzi i psów, których depce racicami, tłucze ogromnemi rogami, nierzadko życia pozbawiając. Daje też on sobie dobrze radę z leśnymi wrogami: niedźwiedziem i rysiem, choć pierwszy nieraz jest dlań groźnym: ale prawdziwe niebezpieczeństwo grozi mu dopiero w zimie, gdy wilki gromadnie chodząc, wpędzą go na lód. Tam wkrótce pośliznąwszy się, upada—a wtedy wszystkie rzucają się gromadnie na niego i przegryzłszy mu arterje na szyi, rozszarpują w kawały.

Łosie w obrębie Królestwa wyginęły już prawie, gdyż tylko można jeszcze je spotkać w błotnistych lasach suwalskiej gubernji. Więcej nieco jest ich w Prusach Wschodnich, gdzie rząd otoczył je troskliwą opieką.

Przejdźmy teraz do najgrubszego zwierza lasów i gór naszych — niedźwiedzia. Jego wygląd ociężały i niezgrabny, nie



Niedźwiedź.

nasuwa myśli o niebezpieczeństwie; lecz gdy raniony lub rozdrażniony ryknie, a stanąwszy na tylnych łapach, wyciągnie przednie, aby dostać w swe pazury śmiałka, który spokój jego zakłócił — wówczas często najlepsi myśliwi uczuwają strach, bodaj przelotny.

Niedźwiedź w młodości prawie nie jada mięsa: wystarczają mu leśne jagody, jak: poziomki, maliny, jeżyny, borówki, trawa, zboże i grzyby — lecz zakosztowawszy raz mięsa, gardzi roślinami i żyje wyłącznie mięsnym pokarmem. Porywa z początku owce i cielęta, później, z wiekiem, potrafi nawet unieść krowę lub wołu.

Na legowisko upatruje miejsce odludne i dobrze zabezpieczone gęstwiną, wykopuje dół w ziemi, wyściela go gałęźmi i mchem miękkim, aby mieć wygodne legowisko na sen zimowy. Nie przesypia on całkowicie zimy, jak drobne zwierzęta: jeże, koszatki, nietoperze, lecz wychodzi kilkakrotnie, aby się napić wody i użyć trochę ruchu.

D. c. n.



REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

— A nie było by go! — odparł oberżysta — dopiero przed paru dniami zostało zwiezione...

— Zatem znakomicie... — rzekł profesor. — Marcinowa prześpi się w pokoju, a my wyśmienicie wyśpimy się na sianie w stodółce... Proszę tylko nam tam posłać...

Pani Marcinowa z wielkiego zdumienia, jak to mówią, języka w gębie zapomniała...

— Jakto?..... — zapytała wreszcie po chwili — pan profesor będzie spać na sianie, w stodole...

— I będzie mi tam bardzo dobrze... Alboż nie spaliśmy tak w wojsku?... Szkoda czasu tracić... Niech Marcinowa zabierze się zaraz do szykowania królewskich łóżek dla nas...

Chciała jeszcze protestować pani Marcinowa, lecz wiedząc dobrze, że z profesorem i jego stanowczością nic nie poradzi, westchnęła tylko i w milczeniu zabrała się do słania w stodółce...

Nie upłynęło nawet i pół godziny, gdy trzy zgodne chrapania, dobiegające ze stodółki, wskazywały, że znajdujący się tam śpią smacznie...

Jedna tylko pani Marcinowa długo nie mogła usnąć na wysłanej pierzynami pościeli oberżystów... Przewracała się z boku na bok, szepcąc od czasu do czasu:

— Żeby to nieboszczka pani widziała... Coby to ona na to powiedziała?..

Wreszcie i jej sen zamknął powieki, a chrapanie jej połączyło się zgodnym chórem z chrapaniem, dochodzącem ze stodółki...

* * *

Szarzeć zaledwie poczynało na wschodzie... Blade przebłyski świtu zaczynały dopiero co rozpraszać mroki nocy, gdy w stodółce dał się słyszeć szmer...

To profesor porwał się z wonnego łoża na ziemię i trąc dłonią czoło, mruczał coś pod nosem...

Jeżeli by ktoś uważniej przysłuchał się tym słowom bez związku, które wydobywały się z ust jego, dosłyszał by napewno co następuje:

— Wyszogród... gród... zamek... umacniał go Kazimierz Wielki... na wzgórzu... Może to tutaj... trzeba szukać... Wojny szwedzkie...

Gorączkowo począł się ubierać profesor, poczem obudziwszy Pawełka, rzekł do niego:

— Wstań i ubierz się pręciutko... Przedostań się potem do bryczki i zabierz dwie łopaty... Pójdziemy na poszukiwania...

Rozespany Pawełek otrzeźwiał w jednej chwili, posłyszawszy to magiczne słowo: poszukiwania.

Zerwał się i nie upłynęły nawet dwie minuty, gdy stanął już ubrany, zupełnie gotów do drogi...

Pocichu, by nie rozbudzić Tomasza i oberżysty, otworzyli wierzeje stodoły i wysunęli się na podwórze... Przyjemny chłód poranku oblał ich falą, spędzając resztki snu z powiek...

Przez chwilę stali w miejscu, rozglądając się po podwórzu i w mroku świtu poszukując bryczki. Wreszcie spostrzegli ją, stojącą pod dachem szopy...

Zaczęli iść w jej stronę, gdy naraz...

Przeraźliwe, alarmujące szczekanie rozległo się i tuż przed nimi zjawił się potężny brytan, groźnie szczerząc zęby i wcale niedwuznacznie zdradzając zamiary poprobowania wytrzymałości ich ubrań...

Poczęli się opędzać przed nim, gdy na wszczęty alarm pojawił się z sąsiedztwa na pomoc i drugi, i trzeci i t. d....

W przeciągu paru minut otoczeni zostali przez całą sforę straszliwie ujadających kundysów wiejskich, które niepozwalały nawet im poruszyć się z miejsca...

Sytuacja poczęła stawać się groźną... Z trudem opędzali się przed gromadą atakujących ich psów i kto wie, jak by się to wszystko skończyło, gdyby na progu stodółki nie ukazał się rozbudzony alarmem oberżysta...

Silnemi uderzeniami kija rozpędził w jednej chwili rozszalałą gromadę, poczem, zwracając się do profesora, rzekł:

— Niebezpiecznie u nas, panie, bez niczego wychodzić w nocy... Psy trzymamy złe bardzo, bo złodziei namnożyło się w tym roku bez liku...

— Dziękuję panu — rzekł profesor — za pomoc, bo gdyby nie ona, sam nie wiem, jakbym sobie dał radę... Wstałem wcześnie, gdyż muszę iść na poszukiwania...

— Na poszukiwania?... — zapytał ciekawie oberżysta — czego?...

— O, panie — zawołał z zapałem profesor — skarbów... niezmiernych skarbów, które dokonają wkrótce przewrotu...

I nie tłumacząc nic więcej zdumionemu tem wszystkiem oberżyście, podążył spiesznie do bryki z Pawełkiem, zkąd zabrawszy łopaty — wyszli za wrota i skierowali się w stronę wzgórza, na którem niegdyś wznosić się miał zamek...

Oberżysta przez długą chwilę stał zdumiony tem co posłyszał, wreszcie mruknąwszy pod nosem:

— Skarby... niezmierne... o niedoczekanie wasze, obieżyświaty jedne, żebyście mieli zagarnąć skarby, nie podzieliwszy się niemi chociaż ze mną...

I wprowadzając w czyn myśl swoją, rozbudził parobka nakazując mu iść za sobą, ostrożnie, pocichu, skradać się począł w ślad za profesorem,..

A profesor z Pawełkiem tymczasem, nie spodziewając się nawet, by za niemi ktoś trop w trop podążał, szli śpiesznie, byle przybyć jaknajprędzej na miejsce.

Znalazłszy się tam, począł profesor pilnie badać wzgórze, poszukując śladów, wskazanych w zagadkowej kartce...

Szukał długo, aż wreszcie zdało mu się, że znalazł je...

— To tutaj,—rzekł do przyglądającego mu się ciekawie Pawełka.

Odmierzył kroki i zrzuciwszy surdut, chwycił za łopatę i śpiesznie nią kopać zaczął... Pawełek poszedł w jego ślady. W niedługim czasie powstał dół dość głęboki, a wykopana ziemia utworzyła wysoki pagórek...

Z profesora pot lał się strugą, zwłaszcza że i słońce, które już wzeszło, przypiekało nie na żarty. Nie ustawał jednak w pracy ani na chwilę... Kopał zawzięcie coraz dalej i dalej, wyrzucając łopatę ziemi za łopatą.

Nic jednak widać nie było.

Już dół dosięgał jakichciś czterech łokci głębokości, gdy łopata Pawełka uderzyła o jakiś twardy przedmiot.

— Coś jest tutaj! — zawołał.

— Co? co? — zapytał ciekawie profesor, — przerywając na chwilę kopanie.

— Coś twardego, — odrzekł Pawełek: ale nie wiem, czy to kamień, czy też co innego...

Zaczął profesor ostrożnie okopywać ów przedmiot zagadkowy, by wydobyć go na wierzch... Wreszcie po chwili okazała się skrzynka drewniana, podłużnego kształtu, okuta zardzewiałemi sztabami żelaza.

Tu już profesor nie mógł pohamować ogarniającej go na ten widok radości...

— Znalazłem! – zawołał głośno z tryumfem.

A jednocześnie, jakby echo dalekie rozległo się ze skraju jamy:

— Oddawaj nam!...

I pojawiły się nad nią rozpłomienione twarze oberżysty i parobka...

Profesor w jednej chwili zrozumiał sytuację i zasłaniając sobą skrzynkę, rzekł z patosem:

— Chyba po trupie moim weźmiecie ten skarb, który odnalazłem...

— Eh, ktoby się tam chciał paskudzić zabijaniem takiego chudziaka, — rzekł oberżysta — sam oddasz po dobrej woli...

— Nigdy! — i profesor, jakby na poparcie tych słów, stanął w pozycji bojowej, z łopatą wysuniętą naprzód... Pawełek zajął stanowisko tuż obok niego.

Oberżysta, widząc, że na oddanie dobrowolne skrzynki nie przystaną, złagodził trochę ton i rzekł już pojednawczo:

— No, co tam się spierać i kłócić... Paneś znalazł, jam to widział... podzielmy się po połowie i będzie wszystko w porządku... Jakby się rząd o tym skarbie dowiedział, zabrałby wszystko, i nam nic by się nie dostało...

Ten pojednawczy ton napastnika ułagodził trochę profesora, który rzekł znacznie spokojniej:

— Dobrze, zgadzam się na to... Lecz stawiam jeden warunek! Cała zawartość skrzynki stanowi moją własność, a panu wypłacam gotówką połowę jej wartości...

— Zgadzam się i na to, — rzekł oberżysta: tylko by wpierw należało zobaczyć, co w tej skrzynce się znajduje...

Połączonym usiłowaniom wszystkich, udało się wydobyć skrzynkę z dołu...

Była ona dębową, mocnej bardzo, choć prostej roboty...

— Trzeba ją otworzyć, — rzekł oberżysta, i wraz z parobkiem, przy pomocy łopat, zabrali się do rozbijania jej wieka. Stawiało ono opór, i wreszcie, po długich usiłowaniach, ustępować zaczęło...

Profesor z niecierpliwością oczekiwał chwili ukazania się owych skarbów bezcennych, pochylił się też nad nią ciekawie, gdy wieko pękło i odpadło, a on w jednej chwili cofnął się w tył...

Na dnie skrzynki leżała czaszka trupia, szczerząc zęby i świecąc pustemi oczodołami... Tuż obok niej leżały rozrzucone w nieładzie kości...

Niemniejsze zdumienie a nawet przerażenie ogarnęły pozostałych. Oberżysta z parobkiem zerwali z głów czapki i przeżegnali się nabożnie...

Profesor, jak błędny, wpatrywał się w ów skarb tak oczekiwany i tylko szeptał:

— Omyliłem się... to nie tu... nie tu...

Czas jakiś upłynął, zanim wszyscy odzyskali pewną równowagę... Nic nie mówiąc, jakby zawczasu wiedząc, co robić,

nakryli skrzynkę wiekiem, spuścili ją do dołu i śpiesznie ziemią zasypywać zaczęli.

Dokonawszy tego, zabrali łopaty i w milczeniu skierowali się w stronę oberży.

Czekała tam już na nich pani Marcinowa, zdumiona tajemniczem zniknięciem profesora i Pawełka...

— Śniadanie wystygnie... czas już w drogę, a ich nie widać — biadała do Tomasza i oberżystki, niemniej od niej zafrasowana tajemniczem zniknięciem męża i parobka...

Koło dziesiątej już było, gdy powrócili chyłkiem, w milczeniu, jakby wstydząc się czegoś...

Profesor ani słówka nie odpowiedział zasypującej go gradem pytań pani Marcinowej. Takież samo milczenie zachował i Pawełek.

Zjedli śpiesznie śniadanie i natychmiast zajęli miejsca w bryczce, przyczem, ku zdumieniu pani Marcinowej, dla załatwienia rachunku nie ukazał się wcale oberżysta, tylko małżonka jego.

Skończono wreszcie ze wszystkiem, Tomasz zaciął konie i bryka potoczyła się szybko w stronę Płocka.

X. Płock.

Wypoczęte koniki raźnie biegły po gładkiej szosie. Przed oczami wędrowników mijały i pola uprawne i łany okryte szumiącem zbożem i wioski o chatach bielonych, strzechą słomianą krytych i lasy zielone, pełne woni żywicznej i śpiewu ptasząt...

Na bryce panowało milczenie. Zarówno profesor, jak i Pawełek, który uroczyście ślubował sobie brać z niego przykład, nie przemówili ani słowa, pomimo usilnych starań pani Marcinowej, zagadującej to jednego, to drugiego, i usiłującej wydobyć z nich tajemnicę ich porannej wycieczki...

Wreszcie, widząc, że wszelkie usiłowania jej pozostają bezowocnemi, zaprzestała ich i nabożnie odmawiać zaczęła koronkę...

Słońce przesunęło się już dobrze za południe... Głód począł się dawać wszystkim we znaki, nikt jednak pierwszy nie wspominał o nim...

Dopiero pierwsza pani Marcinowa przerwała milczenie i rzekła:

— Długo to będziemy tak jechać, zanim napotkamy jaką oberżę?... Wszystkim napewno chce się jeść porządnie...

Profesor, nic nie mówiąc, wydobył z portfelu mapę i przyglądać się jej począł...

— Za pół godziny najwyżej, — odezwał się wreszcie, staniemy w Bodzanowie.. Tam jest oberża i tam zjemy obiad...

D. c. n.

Nasza Ochronka.

Po wakacyjnej przerwie, koniecznej pod względem moralnym i fizycznym dla młodzieży naszej, szkoły zapełniły się na nowo i zapanował w nich gwar, ruch i życie. I nasza minjaturowa szkoła dla maluczkich dzieci Powiśla, ochronka „Mojego Pisemka" pracę swą już rozpoczęła — a praca to podwójna: kształcąca umysłowo i wychowawczo fizycznie. Do szkół początkowych, pobierających opłatę, przychodzą dzieci z umysłem przygotowanym do przyjęcia nauki, mniej więcej etycznie rozwinięte, wzrastające, podług możności rodziców, w możliwie dobrem otoczeniu: dzieciom, uczęszczającym do ochronek, zbywa na tych wszystkich warunkach.

Wzrastając w niedostatku, który pomimo braku sił, zmusza je przedwcześnie do pracy zarobkowej, częstokroć w późniejszem życiu nie mają już sposobności do nauki i tylko dorywczo przyswajają sobie pewien zasób wiadomości, który, dołączony do nauki początkowej, zdobytej w dzieciństwie w białych ścianach ochronki, stanowi cały ich kapitał życiowy.

Te jasne wspomnienia dni, w których się słyszało słowa krzepiące, dobre, nawołujące do pracy, miłowania bliźnich i kraju, w których się było celem serdecznej opieki, zarówno ze strony dorosłych, pracujących dla dobra ochronki, jak młodzieży i dzieci, niosących chętnie swoje drobne datki — zwrócą ze złej drogi niejedno z dzieci ochronkowych.

W dniach tych zaczęła się myśl ich budzić, lub powracać z bezdroży, na które ją popychały: nędza, opuszczenie lub straszna wychowawczyni — ulica.

Ochronka nasza, ciesząca się tak wielką sympatją czytelników „Naszego Świata" i „Mojego Pisemka" ufna i nadal w ich pomoc, zaczyna trzeci rok szkolny, wierząc, iż liczny zastęp dzieci prawdziwie najbiedniejszych, zyska w niej nietylko rozwój fizyczny i moralny, lecz że zamożniejsi pamiętać zechcą o okryciu tych uboższych swoich sióstr i braci wobec bliskiej już jesieni i zimy.

Do was, czytelniczki młode, zwracamy się dziś z prośbą małą — niech wasze rączki w chwilach odpoczynku popracują nad fartuszkami, których krój prosty i materjał tani nie wymaga dużego kosztu ani kłopotu.

Gdyby choć czwarta część czytelniczek p o j e d y n y m tylko nadesłała fartuszku, byłyby dzieci w nie na rok cały zaopatrzone! Wierzymy mocno, iż słowa te nie pozostaną bez echa w waszych młodocianych sercach — zbyt wiele tego mieliśmy dowodów.

Redakcja.

„O własnych siłach".

Łamigłówka geograficzna

ułożona przez Władzia B.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 15 nazw miast, osad i wsi w Królestwie Polskiem, tak, aby początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko zmarłej niedawno powieściopisarki polskiej. Wyraz 9 jest rzeką w Saksonji.

Sylaby: elż, tów, i, nie, lu, bie, to, ga, miersk, goż, za, ar, ba, ka, el, dja, dżon, wo, o, no, pol, je, sztyn, za, gó, ra, skier, wa, ol, wier, no, an, kut, bo, wi, za, ro, ci, ce, no, wi, ra, le, pi, ce, nie, war, za, cie, sza.

SZARADA

ułożona przez „Miłośnika łamigłówek".

Pierwsze — jest to ładny ptak
A zaś zwierzę — *drugie* wspak,
Wszystko — w Królestwie Polskiem osada,
I już skończona szarada!

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez «Płomyk».

—o—

Z następujących sylab ułożyć 16 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko poety i publicysty polskiego.

Sylaby: osz, wel, ga, i, chi, e, so, mor, je, n, kon, mia, syn, ka, kal, djon, ry, ling, na, a, ry, wal, man, de, łę, mo, zbysz, ca, a, ko, go, mar, ca, sier, ros, ra, bel, wa, za, le, lja, to, zi, la, ra, nja, czy.

Znaczenie wyrazów:

1. Miasto w Ameryce północnej.
2. Postać z powieści Sienkiewicza.
3. Bożek grecki.

4. Wąwóz w Hiszpanji.
5. Miasto w Królestwie Polskiem.
6. Symbol miłości.
7. Imie męzkie.
8. Postać biblijna.
9. Bożek perski.
10. Spółgłoska.
11. Kwiat.
12. Miasto powiatowe na Litwie.
13. Drzewo, rosnące w Ameryce.
14. Naród dziki.
15. Cesarz rzymski z III w.
16. Tytuł powieści Krasińskiego.

KONKURS WAKACYJNY.

Chcąc dać naszym czytelnikom dalej zamieszkałym sposobność do wzięcia udziału w konkursie „Naszego Świata", przedłużamy termin nadsyłania okazów do 15-go Października. Z nadesłanych już okazów, niektóre są bardzo ładne i dobrze ułożone, jak np. zielnik B. Zawadzkiego oraz zbiór motyli własnej hodowli W. Sztompki.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i zadania arytmetycznego z N-ru 34-go nadesłali: Płomyk z Bierwieńciszek, Biały Orlik, Robert Darvel, Jadzia B., Telesfor z ul. Wilczej, Janina Siemianowska.
Rozwiązanie łamigłówki, szarady i arytmografu z N-ru 35-go nadesłali: Gieniek Landau, Biały Orlik, Jan Schaff, Jadzia B., Telesfor z ul. Wilczej.
Rozwiązanie łamigłowki sylabowej i kreskowej z N-ru 36-go nadesłała Złośnica.

Rozwiązanie zadania arytmetycznego z Nr. 34.

Pierwszy wniósł 120 rub.
Drugi „ 40 „
Trzeci „ 20 „

Rozwiązanie logogryfu sylabowego z Nr. 34.

1. Kolorado
2. Arno
3. Rodan
4. Odra
5. Loara
6. Czarna Hańcza
7. Horyń
8. Ossa
9. Dunaj
10. Kamienna
11. Irtysz
12. Elstera
13. Wisła
14. Irawadi
15. Cisa
16. Zambezi

Karol Chodkiewicz.

Rozwiązanie łamigł. geograficznej z Nr. 34.

1. Ind
2. Sahara
3. Liwerpol
4. Arabja
5. Nowogród
6. Danja
7. Jenisej
8. Astrachań

Islandja.

Dla uniknięcia zwłoki w przesyłce, uprzejmie prosimy o wcześniejsze nadsyłanie przedpłaty za kwartał 4-ty.

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: Marja Bujno-Arctowa.

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 7.